

HER SOUL TO TAKE

*Przeklęte
dusze*

TOM 1

HARLEY LAROUX



HARLEY LAROUX

HER SOUL TO TAKE

*Przekłete
dusze*
TOM 1

Przełożyła Gabriela Iwasyk



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Her Soul to Take

Souls Trilogy

Redaktorka prowadząca: Agnieszka Nowak

Redakcja: Katarzyna Kusoń

Korekta: Anna Zawadzka

Adaptacja okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Opulent Designs

Wyklejka: © zzorik / Stock.Adobe.com

DTP: PageGraph.pl

Copyright © 2021 by Harley Laroux

Copyright © 2023 by Niegrzeczne Książki an imprint

of Wydawnictwo Kobiece Sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Gabriela Iwasyk, 2023

Published by arrangement with Weaver Literary Agency

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-158-9

Grupa Wydawnictwo Kobiece

| www.WydawnictwoKobiece.pl



Leon

– W Jego imię przelano krew. Obudził się.

Poczułem, że coś zaczyna się dziać, jeszcze zanim to oznajmił. Cholerni śmiertelnicy zawsze obwieszczają to, co oczywiste! Tak jakbym nie wyczuł, że ziemia drży, a stare korzenie napinają się – napinają się, jak ciało przygotowujące się do przyjęcia uderzenia. Jakbym nie słyszał coraz głośniejszych szeptów w mroku, macki pradawnej, niepojętej myśli wysuwają się i próbują wyczuć słabe punkty.

Otoczający mnie beton – w którym zostałem pogrzebany żywcem – nie mógł odgrodzić mnie od zakłóceń. Naprawdę nie było potrzeby, żeby ten pompatyczny dupek Kent wkraczał tutaj i wygłaszał tę oto deklarację. Może jeszcze spodziewał się, że padnę mu do stóp w podzięce za te wieści? Siedziałem po turecku w tym cholernym kręgu uroku, ostrzyłem pazury o betonową podłogę, a kiedy wszedł do pomieszczenia w towarzystwie swojej świty, ledwo raczyłem obrzucić go spojrzeniem. Gdy wygłosił swoją wielką nowinę, tylko mruknąłem coś pod nosem, a on najwyraźniej nie był usatysfakcjonowany taką reakcją.

– Słyszałeś mnie, demonie? – warknął, zaciskając palce na skórzanej okładce grymuaru. Nie wypuszczał z rąk tego cholernego sfatygowanego woluminu, młota wzniesionego nad moją

głową. Niemagiczny człowiek pokroju Kenta nie mógłby przejąć nade mną kontroli, gdyby nie ten niewielkich rozmiarów tomik z zaklęciami.

– Słyszałem cię – westchnąłem ciężko i odchyliłem się do tyłu, żeby bębnić pazurami w podłogę. – Wybacz, jeśli nie podskakuję z radości, chłopczyku Kenny. Sam fakt, że jesteś tutaj i przechwalasz się, że twój pradawny Bóg właśnie się przeciąga, wyraźnie wskazuje, że nie obudził się na tyle, żeby obdarzyć cię tą całą rozkoszną władzą, której tak pragniesz. – Twarz mu niebezpiecznie spochmurniała, a ja wiedziałem, że igram z ogniem. Zaraz uda mi się go sprowokować i zrobi mi krzywdę.

Niewola była stanem tak nieskończenie nudnym, że zabawiałem się sprawdzaniem, jak daleko mogę się posunąć, zanim mój pan zdecyduje się zadać mi ból.

Wzruszyłem ramionami.

– A więc jesteś tu, żeby zlecić mi zadanie. Wyślesz mnie, żebym załatwił jakiś drobiazg, a następnie z powrotem zamkniesz w ciemności. Ekscytujące.

Kostki na dłoniach Kenta zbieleły. W jego wyglądzie było coś arystokratycznego; byłby tak samo na miejscu w wiktoriańskim Londynie, jak i w towarzystwie elity biznesowej Seattle. Ciemnoszary garnitur, subtelne prążki na czarnym krawacie, perfekcyjnie ostrzyżone i uczesane siwe włosy. Był równie milczący, co zasznute chmurami niebo nad Waszyngtonem, i tak samo nieprzewidywalny.

– Na twoim miejscu oszczędzałbym siły na czekające cię zadanie, demonie – powiedział zduszonym głosem, z trudem hamując gniew – zamiast marnować je na gadanie, co ci ślina na język przyniesie. Chyba że chcesz, żebym ci go znowu wyrwał?

Jedna ze znajdujących się za nim spowitych w biel postaci parsknęła cichym śmiechem, a ja rzuciłem w tamtą stronę gniewne spojrzenie, choć nic nie powiedziałem. Kent kazał im nałożyć

peleryny i maski przedstawiające czaszkę jelenia, ale ja wiedziałem, że dwie towarzyszące mu anonimowe postacie to jego dorośli już narybek. Victoria pachniała nieco sztucznym aromatem waniliowym oraz wszystkimi substancjami chemicznymi, które wchodziły w skład jej kosmetyków do makijażu. Jeremia z kolei śmierdział tanim dezodorantem i żelem do włosów.

– Dziś o północy udasz się na cmentarz Westchurch. Zachowuj się cicho, żeby nikt cię nie zauważył. Następnie znajdziesz grób Marcusa Kynesa. Wykopiesz jego ciało i zasypiesz grób. Przyniesiesz ciało do White Pines. Zrozumiano?

Wolałem mieć język w ustach. Hodowanie nowego było raczej paskudnym procesem.

– Zrozumiano.

W tym małym pomieszczeniu nie było zegara, ale i tak czułem, że zbliża się północ. Świat subtelnie się zmienił, lekko przybliżając się do granicy dzielącej go od Nieba i Piekła. O północy zawsze czułem się dobrze, tak jak wtedy, gdy wreszcie miałem okazję wyprostować nogi i opuścić krąg uroku.

Kent trzymał mnie w tym kręgu tak często, że musiał wyrzucić go w podłódze. Podobnie jak jego ojciec, a wcześniej jego dziadek, Kent obawiał się, że jeśli zwolni mnie ze służby, kiedy akurat nie będzie miał dla mnie żadnych zadań, znajdę jakiś sposób, żeby opuścić go na zawsze. Kuszący pomysł, tyle że, niestety, niemożliwy do zrealizowania. Kent miał grymuar, w którym znajdował się jedyny zachowany zapis mojego imienia na Ziemi. Dlatego tylko on mógł mnie wezwać.

Podjeżdżam, że obawiał się również, że – biorąc uwagę bezmiar mojej nienawiści wobec niego – nagnę reguły i zemszczę się, mordując zarówno jego samego, jak i całą jego rodzinę, gdy tylko zwolni mnie ze służby. Kolejny intrygujący pomysł, tym razem bardziej realny. Chętnie zaryzykowałbym ściągnięcie na siebie

gniewu swoich władców w Piekło, jeśliby to oznaczało, że będę mógł zniszczyć całą tę rodzinę.

Jednak minęło już ponad sto lat, a ja przez cały ten czas służyłem rodzinie Hadleighów. Owszem, robi to wrażenie. Szczerze, to jeszcze nikt nie zdołał utrzymać mnie w niewoli przez tak długi okres, nie tracąc przy tym życia. Nie bez powodu uchował się tylko jeden zapis mojego imienia. Wszyscy wzywający mnie na przestrzeni lat prędko orientowali się, że nie jest łatwo wydawać mi rozkazy, i w związku z tym szybko dochodzili do wniosku, że najlepiej, żebym w ogóle nie był wzywany.

Ciągnął się za mną ślad niezwywych magów i nie miałbym absolutnie nic przeciwko, żeby dorzucić jeszcze kilku do tej listy.

Noc była zimna i mglista, z gałęzi sosen kapła rosa. Cmentarz Westchurch otoczony był drzewami, dzięki czemu był zupełnie niewidoczny z ciągnącej się wzdłuż niego cichej drogi. Między rzędami nagrobków, z których niektóre miały nawet ponad sto lat, pleniła się dzika wysoka trawa. Znalezienie Marcusa nie zajęło mi wiele czasu. Od razu zauważyłem prostokąt świeżo przekopanej ziemi. Grób był nowy, nazwisko zostało wyryte na prostym, płaskim nagrobku.

Marcus Kynes. Dwadzieścia jeden lat. „Przelana krew”, która obudziła Boga Hadleighów. Dziwne, że Marcus w ogóle został pochowany. Ofiara powinna być złożona w katedrze, a ciało oddane natychmiast – a jeszcze lepiej, gdyby zaoferowano ofiarę ciągle żywą, żeby Bóg mógł się nad nią bez pośpiechu pastwić. Sam fakt pogrzebania jego ciała wydawał się niedopatrzaniem.

Wykopanie ciała nie zajęło mi wiele czasu, choć używałem tylko gołych rąk i pazurów, żeby przebić się przez luźną ziemię. Chłopak został pochowany w prostej drewnianej, niczym nieozdobionej trumnie. Gdy uniosłem jej wieko, uderzył we mnie smród formaldehydu. Marcus został pochowany w tanim garniturze, a jego młodzieńcza twarz była pokryta tak grubą warstwą makijażu, że wyglądała jak nawoskowana.

– Pobudka, wstajemy! – Zarzuciłem go sobie na ramię i wychłopałem się z grobu, po czym cisnąłem ciało obok stosu ziemi, którą przed chwilą wykopałem. – Daj mi teraz chwilę, kolego. Nie chcemy przecież, żeby twoja matka dowiedziała się, że grób jej syna został zbezczeszczony.

Szybko zasypałem grób, po czym z ciałem na ramieniu ruszyłem w kierunku szybu White Pine. Las oraz znajdujący się na jego obszarze szyby górniczy były niedaleko, ale niewygodnie mi się biegło z Marcusem przerzuconym przez ramię. Choć z dwójga złego i tak wolałem bieganie między drzewami z trupem na plecach niż tkwienie w bezruchu w betonowym więzieniu.

Gdy dotarłem do White Pine, zbliżała się godzina duchów. Akurat zaczął padać drobny, przypominający mgiełkę deszcz, a Marcus z każdą sekundą bardziej śmierdzał. Jednak oprócz odoru rozkładającego się ciała oraz zapachu mokrej ziemi czułem również dym. W lesie ktoś rozpałił ogień.

W leśnej otchłani, gdzieś na zboczu wzgórza natknąłem się na Kenta i jego wesołą kompanię, czekali na mnie przy ognisku.

Wszyscy mieli na sobie białe peleryny oraz maski przedstawiające czaszkę jelenia. Między drzewami znajdowały się co najmniej dwa tuziny osób, były rozproszone i rozmawiały ścisłymi głosami, schowane pod czarnymi parasolami. Nic dziwnego, że miasteczko aż huczało od plotek o kryptydach. Dzięki niewielkiej sekcji Kenta – jej wyznawcy nazwali siebie Libiri – prawie każdy mieszkaniec Abelaum mógł pochwalić się fantastyczną opowieścią o potworze napotkanym w lesie.

Właściwie to tak bardzo się nie mylili. Naprawdę widzieli potwory, tyle że ukryte w ludzkiej skórze.

Jedyną osobą, która występowała bez przebrania, była Everly, córka Kenta Hadleigha, z nieprawego łoża. Starsza o kilka miesięcy od swojego przyrodniego rodzeństwa, Victorii i Jeremiaha, Everly była smukłą blondynką, od stóp do głów ubraną w swoją

ulubioną czerń. Świeżo upieczona wiedźma wyglądała na abso-
lutnie przerażoną, a kiedy spojrzenie jej niebieskich oczu padło
na mnie i na ciało, które dźwigałem, miałem wrażenie, że zaraz
zwymiotuje.

– Bracia i Siostry, nadchodzi czas złożenia ofiary! – oznajmił
Kent dziwnie teatralnym głosem, stając przed swoją bandą fana-
tyków. Trochę przypominał nawiedzonego kaznodzieję z Połu-
dnia, a trochę – nauczyciela z przedszkola, mogącego się poszczy-
cić kolekcją ciał zakopanych w ogródku za domem. Działo mi
to na nerwy, zarówno jego głos, jak i władczy gest, kiedy pstryk-
nął na mnie palcami i wskazał na ziemię pod stopami Everly.

– Tutaj. Połóż go.

Bezceremonialnie pozbyłem się Marcusa, pozwalając zwło-
kom upaść u stóp młodej wiedźmy, której twarz na moment wy-
krzywił grymas bólu. Czy go znała? Może był jej kolegą z uczelni?
A może nagle zmiękło jej serce, kiedy gadanina jej ojca na temat
piękna śmierci zamieniła się w raczej paskudną rzeczywistość?

– Rozbierz go – rzucił Kent, a ja natychmiast spełniłem jego
polecenie, zrywając z chłopaka tani garnitur, jakby był z papieru.
Na jego nagiej klatce piersiowej zobaczyłem obrażenia, których
nie dałoby się ukryć pod żadną ilością pośmiertnego makijażu:
liczne rany klute rozrzucone przypadkowo po piersi, a między
nimi nagryzmołone linie i runy stosowane podczas składania
ofiary.

Niechlujnie. Bardzo niechlujnie. Na moje oko było to działa-
nie nieplanowane. Powiedziałbym nawet, że spontaniczne.

Podniosłem brew, spoglądając na Kenta, choć wiedziałem, że
nie odpowie na moje nieme pytanie. Krótco kiwnął głową w stro-
nę Everly, a młoda wiedźma, w tym momencie chorobliwie blada,
ukłękła i zaczęła przyglądać się znakom na piersi Marcusa.

– Są takie, jak trzeba – powiedziała wreszcie. Pospiesznie
się podniosła i odwróciła oczy od ciała. – Znaki są wykonane

nieudolnie, ale zadziała ją. – Rzuciła zaniepokojone spojrzenie w kierunku tłumu, jakby właśnie przyszło jej do głowy, że jej słowa mogły kogoś urazić, co mogło mieć swoje konsekwencje.

– Bardzo dobrze – skwitował cicho Kent. Następnie kontynuował głośniejszym, znowu teatralnym głosem: – Długo przyszło nam czekać na ten dzień, moje dzieci. Długo Istota z głębin na to czekała, a czekała z nieskończoną cierpliwością i wyrozumiałością. Dzisiaj pierwszy z trzech zejdzie do Jej głębin. Oby szybko podążyły za nim dwie kolejne ofiary.

– Oby szybko podążyły za nim dwie kolejne ofiary – wymrucał tłum, z wyjątkiem Everly, której usta zaciśnięte były w cienką, surową linię przecinającą jej piękną twarzyczkę.

– Sługo, zanieś ofiarę do kopalni – powiedział Kent. Sługo. Pierdolony kutas. Miałem ochotę wepchnąć mu do gardła jego własny język. – Jeremiah będzie ci towarzyszył. To on złoży ofiarę.

Biała, cuchnąca dezodorantem postać wystąpiła do przodu. Jeremiah, jakżeby inaczej...! To niechlujne, nieplanowane, całkowicie spartaczone złożenie ofiary było dziełem drogiego synalka Kenta. Wywróciłem oczami, ale podniosłem z ziemi nagiego Marcusa i, nie odzywając się do Jeremiaha nawet słowem, odmaszerowałem w stronę drzew, oddalając się od światła ogniska.

Jeremiah najwyraźniej wziął sobie za punkt honoru, żeby mnie wyprzedzić, ale ja utrzymywałem wystarczająco szybkie tempo, żeby mu się to nie udało. Jednak ten chłopak był bardziej niecierpliwy niż jego ojciec.

– Zwolnij, kurwa – odezwał się. – Albo przysięgam, następnym razem powiem ojcu, żeby ci urwał jaja.

– Trzymaj nerwy na wodzy. – Potrząsnąłem głową, ale zwolniłem. Pozwolę temu dupkowi iść przodem, niech się nacieszy swoją chwilą chwały. Wpatrując się w tył jego głowy, przynajmniej mogłam sobie wyobrażać, jak by to było zmiażdżyć mu

czaszkę. – Czyli to twoja robota, co? Chyba nie wszystko poszło zgodnie z planem?

– Skurwiel próbował uciekać – wyjaśnił, po czym parsknął ponurym śmiechem. – Nie uciekł daleko. Piszczął jak zarzynana świnia. Chyba wreszcie zrozumiałem, dlaczego tak bardzo lubisz zabijać, Leonie. To daje, kurwa, kopa.

Zacisnąłem zęby.

– Nie myśl, że zrozumiałeś, na czym polega śmierć, bo dokonałeś jednego nieporadnego morderstwa. Poczekaj, aż obudzi się wasz Bóg. Nauczy cię tego i owego na temat śmierci.

Jestem pewien, że chętnie by mi się odgryzł, ale właśnie przybyliśmy na miejsce. Właśnie tutaj, w cieniu drzew znajdował się szyb górniczy White Pine. Od prawie stu lat był zabity deskami, a poplamione drewniane wejście pokrywały liczne runy: niektóre były wyryte, inne wymalowane, kolejne – wypalone. Na zerwanym łańcuchu kołysała się metalowa tabliczka z ostrzeżeniem: „Uwaga: otwarty szyb! Zakaz wstępu”. Ziemia była porośnięta mchem, a wokół wejścia można było zobaczyć ogromne skupiska grzybów z dorodnymi, białymi kapeluszami.

Ziemia wibrowała. Drzewa były niespokojne. Powietrze przenikał dziwny zapach, jakby głębokiej wody i gnijących alg. Gdzieś tam, w głębi tych zalanych tuneli pod naszymi stopami budził się ze snu pradawny Bóg.

Nie należałem do strachliwych, a jednak przebiegł mnie lodowaty dreszcz.

– No to jesteśmy na miejscu. – Wepchnąłem ciało w ramiona Jeremiaha, który odskoczył z pełnym obrzydzenia okrzykiem i pozwolił biednemu Marcusowi wpaść do błota.

– Co z tobą, kurwa, jest nie tak? – zawołał piskliwym głosem. Cała jego brawura nagle zniknęła. – Nie chcę tego dotykać!

– To ty składasz ofiarę – przypominałem, obojętnie wzruszając ramionami. – Naprawdę chcesz, żeby cała chwała złożenia

ofiary Istocie z głębin przypadła demonowi, który wrzuci ciało do środka?

Jeremiah się zawahał, jego wzrok krążył między nieboszczykiem a kopalnią. Gardło mu się ścisnęło, z trudem przełknął ślinę. Szczerze, to miałem głęboko w dupie, w jaki sposób cholerny trup znajdzie się na dole, ale skoro trafiła się okazja wystraszyć Jeremiaha, to nie zamierzałem jej przepuścić.

Wreszcie z jękiem obrzydzenia Jeremiah dźwignął Marcusa; niełatwe zadanie, jeśli wziąć pod uwagę, że on i zmarły byli prawie tego samego wzrostu. Z trudem ruszył w stronę kopalni, zatrzymał się tuż przed wejściem i zajrzał w ciemną, nieprzeniknioną otchłań.

Jak wiele cierpienia by mnie kosztowało, gdybym po prostu wepchnął go do środka...? Dwie ofiary w cenie jednej. Kent powinien to uznać za całkiem niezły interes.

A jednak powstrzymałem się. Godzina zemsty jeszcze nadejdzie.

Chyba że najpierw Istota z głębin przebudzi się i mnie zabije.

Stękając, Jeremiah wrzucił Marcusa w ciemność. Ciało z głuchym odgłosem uderzyło o dno, następnie przetoczyło się i z pluskiem wpadło do zalanego tunelu poniżej. Zapach morskiej wody stał się bardziej intensywny, a wiatr się wzmógł, poruszając igłami sosnowymi nad naszymi głowami. Żołądek nieprzyjemnie mi się ścisnął, a Jeremiah, zataczając się, szybko odsunął się od wejścia do kopalni i wytarł ręce w pelerynę. Nie odezwał się do mnie ani słowem, tylko ruszył stanowczym krokiem z powrotem w stronę wzgórze.

Zostałem tam jeszcze chwilę, wpatrując się w ciemność. Palce u nóg mi się skurczyły na dźwięk dudnienia dobiegającego z głębi, a czaszka zawibrowała pod wpływem jego mocy. Jutro poziom wód będzie wysoki. Okoliczne drzewa podejmą mozolną próbę wydobycia z ziemi korzeni, jakby chciały odsunąć się od stworzenia pod nimi, które wydawało się wcieleniem zła.

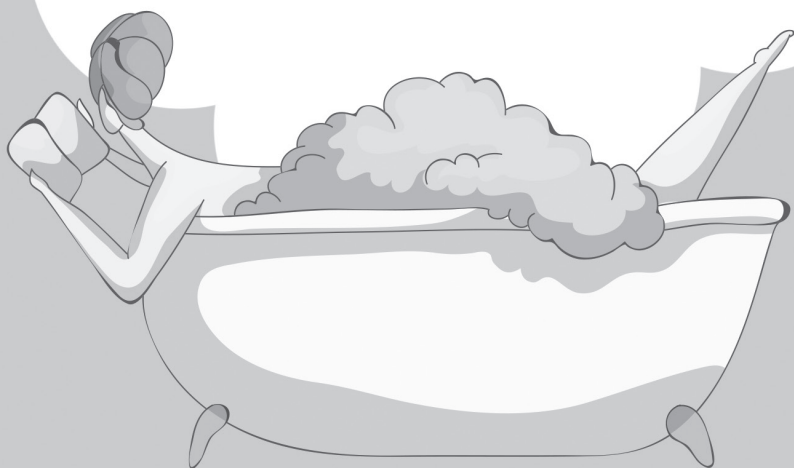


**Niegrzeczne
Książki**

**PRZYJEMNOŚĆ, KTÓREJ
SOBIE NIE ODMÓWISZ**

**HISTORIE, KTÓRYCH
NIE ZAPOMNISZ**

Sięgnij po więcej!



 **/NIEGRZECZNEKSIAZKI**

 **/NIEGRZECZNEKSIAZKI/**